



Mirosław Derecki

FORD & WAYNE – LEGENDA WESTERNU

Zetknęli się ze sobą po raz pierwszy chyba około roku 1926; oczywiście na planie filmowym kręconego właśnie westernu. Dzieliła ich wówczas - jak by się mogło wydawać - przepaść nie do przebycia: John Ford był już słynnym reżyserem, twórcą pięćdziesięciu westernów, w tym - nakręconego w 1924 r. „Ognistego konia”, który, przyniósł mu światowy rozgłos; a John Wayne (późniejszy: Wayne, bo teraz nazywał się jeszcze Marion Robert Morrison) pracował w ekipie zdjęciowej, jako rekwizytor.

Wysoki, masywnie zbudowany, niespełna dwudziestoletni młodzieniec, zwrócił na siebie uwagę dwanaście lat starszego, również wysokiego i muskularnego, reżysera. Ale Ford nie zachwyił się nagle młodym człowiekiem, jako „gwiazdą” przyszłych swoich filmów. Ten pełen temperamentu zawadiaka, w którego żyłach płynęła gorąca irlandzka krew, postanowił tylko... zmierzyć się na pięści ze swym rekwizyтором i przekonać się „kto silniejszy”. Pojedynek odbył się na miejscu, przed milczącą kamerą, w świetle filmowych jupiterów, we wnętrzu kręgu, który utworzyli widzowie - operatorzy, aktorzy, statyści, kaskaderzy i maszyniści. Z tego pojedynku, ku swemu zdziwieniu, Ford wyszedł pokonany. Myślano, że wyrzuci teraz „hardego” pracownika, który nie dał się „grzecznościowo” pokonać przez reżysera, mającego skłonność do tyranizowania zespołu. Ale on, podniósłszy się z ziemi i otarłszy krew z warg, podszedł do zwycięzcy, mówiąc: „Chodźmy na obiad. Jestem cholernie głodny, ja stawiam!” I wtedy właśnie narodziła się między tymi dwoma ludźmi przyjaźń, która miała trwać prawie przez pół wieku...

Ford i Wayne startowali z różnych pozycji, różnił ich wiek, ale też wiele łączyło. Obydwaj mieli krew irlandzką, obaj pochodzili z szanowanych, choć niebogatych, rodzin, obaj nie znosili miasta, z którego uciekali na prerie lub w góry, aby żyć tam wśród prostych, zwykłych, ludzi. I wreszcie obaj kochali film.

John Ford, a w istocie — Sean Aloysius O’Fearná, urodził się w 1895 r. w Cape Elizabeth w stanie Maine. Od dzieciństwa czuł się Amerykaninem, chociaż był zarazem wychowywany w gorącym patriotyzmie dla ojczyzny swoich rodziców, walczącej o niezależność Irlandii. W dzieciństwie spędził nawet kilka lat w Irlandii i ów pobyt nie pozostał bez echa w jego twórczości; w swych filmach potrafił niejednokrotnie w ostry i

odważny sposób podnosić sprawy ucisku politycznego i niesprawiedliwości społecznej. Z około 140 filmów nakręconych przez Johna Forda ponad połowa to westerny (notabene jakże często są to filmy o gorzkim, oskarżycielskim wobec białych, zdobywców Ameryki - wydźwięku), ale - poza licznymi filmami historycznymi, melodramatami czy filmami wojennymi - znajdują się w jego dorobku też takie dzieła jak „Grona gniewu”, nakręcone według słynnej książki Steinbecka, czy „Droga tytoniowa” według Caldwell.

Początkowo chciał zostać marynarzem. Próbował, dostać się do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, ale nie przyjęto go. Wobec tego rozpoczął studia na Uniwersytecie Maine. Wkrótce jednak znudził się nimi i znalazł pracę, jako przedstawiciel prasowy działu reklamy wielkiej fabryki obuwia. Wreszcie, śladem swego starszego brata, Francisa, powędrował do Hollywood. Francis O’Fearn, przybrawszy pseudonim Francis Ford, już od pewnego czasu pracował w wytwórni Universal, jako reżyser. Gdy więc Sean Aloysius w 1913 r. przybył do stolicy kina, mógł liczyć na kąpiel i jakąś pracę na planie filmowym. Robił wszystko: był, gdy zaszła potrzeba, aktorem, statystą, rekwizytorem (jak ponad dziesięć lat potem Marion Robert Morrison - późniejszy John Wayne), a w końcu także - asystentem reżysera, swego brata, Francisa. W 1917 r., w marcu, nakręcił pierwszy samodzielny film: krótki, dwuszpulkowy, „obrazek” z Dzikiego Zachodu, zatytułowany „Tornado”. Podpisał go „rodzinnym” pseudonimem - Jack Ford (jeszcze nie - John Ford; dopiero później „doszlifował” ostatecznie swoje „filmowe” imię i nazwisko). Do grudnia 1917 r. nakręcił dziewięć krótkich filmów, głównie o tematyce „indiańsko-kowbojskiej”.

Tematyka młodzieńczych filmów Johna Forda wynikała nie tylko z rynkowego zapotrzebowania na ten właśnie „westernowy” gatunek twórczości. Złożyły się na to jeszcze, co najmniej dwie ważne przyczyny. Po pierwsze – Ford, był człowiekiem prowincji, kochał przyrodę, szanował ludzi pozostających w bliskich z nią związkach, tęsknił do czasów minionych; po drugie - wyniósł z dzieciństwa pamięć rodzinnych opowieści o niedawnych wojnach białych z Indianami i o ostatnich podbojach przez pionierów Far West. Dla wielu późniejszych twórców westernów podbój Dzikiego Zachodu był taką samą legendą jak ta, którą to szyli oni sami na ekranie. Dla Johna Forda był on niemal realnością: wszak tylko na pięć lat przed jego urodzeniem miała miejsce ostatnia wielka masakra Indian pod Wounded Knee. O tym fakcie musiało się w domu rodzinnym O’Fearn’ych opowiadać jeszcze bardzo długo. To, co wkrótce miało już przejść do historii, było dla małego Seana Aloysiusa wciąż jeszcze niemal dniem dzisiejszym. Nic dziwnego, że jego ostatni wielki film to, nakręcona w 1964 r. „Jesień Cheyennów”, opowieść o okrutnej zagładzie całego plemienia Indian, zagładzie dokonanej przez „białych braci”...

Z podobnych, co Ford, choć znacznie jeszcze głębiej zakorzenionych tradycji rodzinnych wyrastał John Wayne. Ten błękitnooki, powolny w ruchach i pozornie

flegmatyczny olbrzym, liczący 1,90 m wzrostu i sto kilogramów wagi, noszący dziwaczne, w zestawieniu ze swą posturą i osobowością, kobiece, a nawet raczej „dziewczęce” imię: Marion, był praprawnukiem Irlandzkich i szkockich osadników przybyłych przed wiekami do Ameryki Północnej. Nosił w sobie gen pionierów wędrujących na Zachód, walczących krwawo z Indianami; w jego żyłach płynęła krew żołnierzy Wojny Secesyjnej.

Urodził się w 1907 r. w stanie Iowa. Gdy miał sześć lat, jego ojciec kupił niewielką farmę położoną na skraju pustyni Mojave, w osadzie Winterset. Osiedlono się na tym spalonym słońcem pustkowiu ze względu na odpowiednie warunki zdrowotne, które należało zapewnić małemu, słabowitemu Marian. Wówczas to chłopiec nauczył się jeździć konno, rzucać lassem, odczytywać ślady. Po kilku latach, gdy całkowicie doszedł do zdrowia, rodzice przenieśli się do Kalifornii i zamieszkali w Glendale, jednym z przedmieść Los Angeles. Wówczas Glendale było jeszcze „nieskażone” cywilizacją. Do tego stopnia, że właśnie tutaj kręcono plenery kowbojskich filmów.

W owych czasach Marion Robert Morrison nie interesował się filmem, lecz,, boksem. Dał się poznać jako obiecujący pięściarz, przy tym - zawadiaka, chętnie uczestniczący w bójkach. Wówczas właśnie zyskał swój przydomek „Duke”, który przyłgnął do niego na całe życie. Wstąpiwszy na Uniwersytet Południowej Kalifornii, „Duke” szybko trafił do uniwersyteckiej drużyny footballowej (właściwie: rugby amerykańskiego), do czego predestynowały go szczególnie wzrost, waga, siła i chęć walki, zdobywając sławę znakomitego zawodnika. Wkrótce stanął na czele swojej drużyny.

Wtedy to zetknął się z „gwiazdą” filmu kowbojskiego, cieszącym się nieprawdopodobną wręcz sławą na całym świecie, Tomem Mixem, który zachęcał go do związania się z filmem i obiecał protekcję. Młody sportowiec „połknął haczyk” kina. Ale gdy, rzuciwszy studia i drużynę sportową, stawiał się u Toma Mixa, ten udął, że... ledwie go poznaję! Ta nie honorowa odprawa, z jaką się spotkał ze strony ekranowego „człowieka honoru”, nie zniechęciła młodego Morrisona do kariery filmowej. Zaczął - kręcić się - jak wielu mu podobnych koło wytwórni filmowych... Pełnił pomocnicze funkcje. I wówczas właśnie doszło do jego pamiętnej bójki z Johnem Fordem.

Ford zaprzyjaźnił się z Morrisonem, ale nie zaangażował go do żadnego ze swych filmów. Miało to się stać dopiero trzynaście lat później, gdy John Ford (po takimż samym okresie milczenia, jako realizator westernów, uznany już za przebrzmiałego „klasyka” tego gatunku) zaproponował w 1939 r. swemu przyjacielowi rolę Ringo Kida w „Dyliżansie”... Tak, to było wiele lat później. Tymczasem zaś Marion Robert Morrison zaczął grywać rólkę i role, lecz nie kowbojów, tylko - podobnych jak on - sportowców. W 1927 r., mając lat dwadzieścia, zadebiutował w filmie „The drop kick”, w 1929 r. zagrał sportowca-futbolistę w filmach „Words and music” oraz „Salute”. W 1930 r. otrzymał pierwszą znaczącą rolę

młodego trapera-zwiadowcy w filmie Raoula Walsha „Big Trail” („Droga olbrzymów”). W „westmańskim” stroju z kozłej skóry, obszytym frędzlami, w którym występował w owym filmie, wydaje się wręcz „smukły” i chłopięcy w porównaniu z owym późniejszym flegmatycznym olbrzymem o twarzy spalonej słońcem, dobrodusznym uśmiechu i ręce błyskawicznie sięgającej po rewolwer (jak ów niezapomniany szeryf z nakręconego w 1959 r. przez Howarda Hawksa – „Rio Bravo”). Ale jest już w nim „coś”, jakaś wyraźna zapowiedź przyszłych rewolwerowców, szeryfów, oficerów kawalerii z czasów walk z Indianami lub z lat wojny Północy z Południem. To już zresztą nie jest Marlon Robert Morrison, bokser, futbolista i aktor-zawadiaka o dziewczęcym imieniu. Reżyser Raoul Walsh wymyślił odpowiedni dla kreowanej przez niego roli pseudonim. Od tej pory będzie występował, jako John Wayne.

Obaj z Fordem nie znosili miasta i obaj najchętniej żyli i pracowali na prerii, bywając - wzorem prawdziwych „westmanów” - tylko gośćmi we własnym domu. Różnili się jednak podejściem do kobiet, do swych małżonek i w ogóle do spraw rodzinnych. John Ford ożenił się jeszcze w 1920 r. z Mary France McBryde Wingate Smith; miał z nią córkę i syna, a jego życie przebiegało raczej dość zgodnie i spokojnie, jak życie marynarza przebywającego stale w długich rejsach. John Wayne miał trzy żony, wiele przyjaciółek (wśród nich także Marlenę Dietrich) i przygodnych romansów o pod koniec życia związał się z 34 lata młodszą od niego osobistą sekretarką, Pat Stacy. Miał siedmioro „legalnych” dzieci.

„Duke” żył swoim własnym życiem. Kręcąc westerny, często więcej czasu w ciągu roku spędzał na prerii, w namiotach czy barakach położonych z dala od siedzib ludzkich, otoczony statystami-Indianami, kaskaderami, ujeżdżaczami koni oraz podobnymi jak on, aktorami „rewolwerowcami” – niż w rodzinnym domu. W początkowym okresie kariery Wayne kręcił rocznie do 16 westernów. Sam już chyba zatracił świadomość, gdzie kończy się jego „normlane” życie, a gdzie zaczyna filmowa fikcja.

Obliczono, że w ciągu 40 lat John Wayne wypijał przeciętnie litr alkoholu dziennie, licząc w to whisky, meksykańską tequile oraz piwo. Wypalał dziennie 50 papierosów. Rano wstawał, jakby nigdy nic i był gotów do wielogodzinnych zdjęć. John Ford też potrafił pić długo i na umór, ale Wayne był w tym względzie niepowtarzalnym fenomenem!

A jednak każda odporność ma swój kres. W 1959 r., roku „Rio Bravo” Hawksa oraz „The horse soldiers” Forda z Johnem Wayne w rolach głównych, stwierdzono w jego płucu guz rakowy.

Przez wszystkie te następne lata, gdy widzowie na całym świecie podziwiali „niezwycięzonego” Johna Wayne w „Człowieku, który zabił Liberty Valance’a” (1961 r.), „Jak zdobyto Dziki Zachód” (także 1961 r.), „Donovan’s reef” (1963 r.) - filmach Johna Forda; w „Złocie Alaski” (1960 r.) i „Synach Katie Elder” (1965 r.) - Henry Hathawaya; w

„El Dorado” (1967 r.) i „Rio Lobo” (1970 r.) - Howarda Hawksa, i tylu, tylu innych filmach... przez wszystkie te lata „Duke”, albo „Big John” - jak go również nazywano - walczył z chorobą, którą sam nazwał z bohaterskim humorem... „Big C”.

Ze swym przyjacielem, Johnem Fordem, nakręcili wspólnie, co najmniej 14 znaczących filmów; niektóre z nich to filmy wybitne. Nie tylko, jako westerny, ale jako dzieła sztuki filmowej w ogóle. Jeżeli operować samymi liczbami, to biorąc pod uwagę fakt, że Ford nakręcił w życiu około 140 filmów, a Wayne - około 250, jest tych „wspólnych” dzieł nie tak znowu wiele. Ale przecież nie w suchych liczbach wyraża się wartość i miara artystycznych dokonań. Rzecz w tym, że Ford i Wayne zdolni byli wprowadzić sztukę westernu na tak nieosiągalne, jak dotąd, wyżyny.

Jednymi z ostatnich westernów nakręconych przez Johna Wayne były „Rio Lobo” Hawksa (1970 r.) i „Kowboje” Marka Rydella (1972 r.) . Ostatnim filmem, w którym zagrał, był nakręcony w 1976 r. przez Dona Siegala - „Ostatni z wielkich”. Zmarł Wayne w trzy lata później, po licznych operacjach, po dwudziestu latach walki z chorobą, 11 czerwca 1979 r.

John Ford dawno już wtedy nie żył. Umarł w roku 1973. W jego ostatnim wielkim i przejmującym dziele filmowym, „Jesieni Cheyennów” (1964 r.), zabrakło - co za szkoda! - miejsca dla postaci, w którą mógłby się wcielić John Wayne. Główne role grali Richard Widmark i James Stewart. A jednak... był tam Wayne! Jedną z postaci w „Jesieni Cheyennów”, podporucznika Scotta, grał jego syn, Patrick Wayne.

I jeszcze jedno (choć ma to nikły związek z tematem: Ford - Wayne) - znalazła się w „Jesieni Cheyennów” m.in. postać Polaka, starszego sierżanta Stanisława Wichowsky'ego (grał go także zapewne Polak z pochodzenia - Mike Mazurki). Polaka - wiecznego wędrowca po drogach tego świata, tak jak niestrudzonimi wędrowcami zarosłych przez czas szlaków Far Westu byli Ford i Wayne.

Pisząc powyższy artykuł korzystałem m.in. z książki Phillippe Haudiqueta – „John Ford”, Paris 1966, (z serii „Cinema d'aujourd'hui”) oraz obszernego eseju Phillippe Labro – „John Wayne la geant du Grand West” („Paris Match” z sierpnia 1985 r.).

Pierwodruk: „Kamena”, 19885, nr 26, s. 5.